Stanisław BRONIEWSKI

MIŁOŚĆ KRAJU TO MIŁOŚĆ DO LUDZI

Miłość kraju to nie żadna abstrakcja. To miłość do ludzi, którzy tu żyli, budowali, tworzyli, bronili... To miłość do tych, co przyjdą i praca dla nich. Miłość konkretnych ludzi. Zrozumienie również, że te góry, brzeg morski, architektura to albo ich dzieło, albo obiekt ich miłości jako kawałek dzieła stworzenia.

Gdy myślę: „Ojczyzna", teraz w późnym już wieku, trudno mi oprzeć się chęci odnalezienia, skąd wzięło się to – przez całe życie trwające – namiętne wprost zainteresowanie wszystkim, co jej dotyczy? Skąd to wręcz całkowite zaangażowanie, gotowość poniesienia dla niej ofiary oraz ponoszenie okruchów tej ofiary co krok – w postaci wysiłku lub wyrzekania się czegoś? Skąd to mocowanie się przez lata z uporządkowaniem hierarchii wartości w równobocznym trójkącie: Bóg, ojczyzna i osoby, a potem osoba najbliższa; hierarchii ułożonej wreszcie w spokojnej harmonii?

Śledzę siebie, moje pokolenie i te idące później następne pokolenia młodych. Wracam do pierwszych dziecięcych doznań. Do huku dział na warszawskim horyzoncie podczas, o pięć lat opóźnionej przez wojnę, uroczystości mego chrztu, odbywającej się dokładnie w dniu 15 VIII 1920 r. Wracam do stawianego w kącie pokoju karabinu ojca po jego powrotach ze służby w Straży Obywatelskiej i do moich wpatrzonych w ten karabin oczu. Do znalezionego przez matkę na klatce schodowej krzyża Virtuti Militari i do naradzania się rodziców nad tym, co należy teraz z tym krzyżem uczynić.

Nie pamiętam, by rodzice mówili mi wiele o ojczyźnie. Do dziś wyczuwam jednak ich pełne szacunku ściszenie głosu przy wymawianiu słów „Polska", „Ojczyzna".

To był pierwszy siew, pierwsze ziarna. I byli ustawieni pod choinką ołowiani żołnierze, a później kupowane po 1 zł 50 gr pudełeczka tych żołnierzy z własnych oszczędności, z dziecięcej „pensji"; następnie kompletowanie wielkich armii, rozgrywanie bitew. Ale było też tradycyjne wychodzenie całej rodziny na miasto, na Warszawę w przeddzień świąt narodowych, aby obejrzeć piękne iluminacje; było to wielkie rodzinne wydarzenie z uwagi na ustawiczne zapracowanie ojca. I bywały w niedzielę spacery na – wówczas jeszcze taką noszący nazwę – plac Saski, by przed Komendą Miasta uczestniczyć w uroczystej zmianie

warty. Z natury rzadziej zdarzał się udział w defiladach. Pamiętam chłodny dzień 11 XI 1928 r. na Polu Mokotowskim, gdy dowodzący defiladą gen. Konarzewski usiłował koniem odgrodzić wchodzącego pieszo Marszałka Piłsudskiego od napierającego tłumu; i siwy płaszcz Marszałka, i maciejówkę, i jego wąsy, i zamyślone oczy.

Później zaczęły się książki. Pochłaniane z wypiekami na twarzy opowiadania Walerego Przyborowskiego i duma, że to ktoś z dalszej rodziny. Więc Szwedzi w Warszawie, Bitwa pod Raszynem, Olszynka Grochowska *i dziesiątki innych. Książki poważniały, rosły razem z czytelnikiem. Na półce zapanował Wacław Gąsiorowski:* Huragan, Czarny Generał, Pani Walewska *i wiele, wiele tego autora. Później na pierwsze miejsce wysunął się Henryk Sienkiewicz z sześcioma tomami* Trylogii *na czele.*

Przyszła szkoła. Po latach widzę, że i w szkole, podobnie jak w domu rodzinnym, sprawa ojczyzny przekazywana była dyskretnie, nie przez pouczanie, lecz przez atmosferę. Jako sanktuarium traktowało się wmurowaną na parterze tablicę z nazwiskami kolegów poległych podczas poprzedniej wojny. Wyczuwało się w dniach narodowych świąt namaszczoną odświętność całego, dziś z wdzięcznością wspominanego, grona nauczycielskiego. Zapierały dech w piersiach płomienne wykłady o Dziadach *Mickiewicza, porywały wspólnie przeżywane przedstawienia teatralne* Nocy listopadowej *i* Wesela. *Inaczej już teraz chodziło się po Alejach Ujazdowskich, po Łazienkach. Inaczej patrzyło się na Belweder, Arsenał... Wszędzie pełno było Wyspiańskiego i jego urzekających wizji. I znów nie sposób tu oszczędzać jednego wiersza tekstu na nazwiska tych mądrych siewców, samych mających w sercach Polskę: dyrektora Juraszyńskiego, matematyka Wysockiego, polonistę Zakrzewskiego, geografa Karczewskiego i następnego dyrektora Dadleza, historyka Oppmana...*

W pozaszkolnym życiu porywało to samo. Czyż było dla nas coś ważniejszego niż zwycięstwo Żwirki i Wigury w międzynarodowym Challenge'u lotniczym, później zwycięstwo Bajana; zwycięstwo Hynka i Burzyńskiego w zawodach balonowych Gordona Bennetta?! Przecież przeżywało się jak rodzinny wstrząs katastrofę i śmierć wspomnianych Żwirki i Wigury. Ze ściśniętym sercem maszerowało się w kolumnie Przysposobienia Wojskowego za ich trumnami. I nie tylko wydarzenia tej miary. Także zwycięstwo Kusocińskiego, Konopackiej, Walasiewiczówny i starannie ukrywane łzy wzruszenia, gdy na olimpijskim stadionie zabrzmiał Mazurek Dąbrowskiego, *gdy na maszt wciągana była biało-czerwona. Także zwycięstwo polskiej jedenastki w niezapomnianym meczu Polska-Niemcy...*

W dwunastym roku życia wstąpienie do harcerstwa stało się cezurą nowej życiowej epoki lub może wejściem na drogę, która prowadziła i

prowadzi aż dotąd. Nie było chwili wahania, czy „trzeba" się zapisać. Obok rozrosłej w sercu Polski poczęła właśnie rodzić się chęć, postanowienie, decyzja, aby tej Polsce coś z siebie dać, coś dla niej zdziałać, jeszcze nie wiedząc, co to ma być, ale wyczuwając, że musi to być coś ogarniającego całe życie. W harcerstwie instynktownie wyczuwało się istnienie pola dla takiego działania. Ponadto w harcerstwie każdy z nas nie będzie już sam, będzie nas wielu, będziemy stanowić siłę, „która góry przenosi", bo spoidłami naszej gromady będzie przyjaźń i jedność celu. (To słowo o samotności nie pomniejsza przecież niczym odczuwanego i cenionego ciepła rodzinnego domu – chodzi jednak o gromadę rówieśników, tak w tym wieku potrzebną.)

I znów w harcerstwie nie było wykładów o Polsce. Ona jednak była ciągle i we wszystkim obecna. Od rysowania na zbiórce naszego młodego zastępu trudnego konturu granic ówczesnej Polski, poprzez obozownictwo, terenoznawstwo, sygnalizację, aż po ratownictwo, kucharstwo, szycie – we wszystkim wyczuwało się, że to będzie potrzebne – oczywiście, dla niej. I znów nazwiska siewców tego ziarna: Mietek Dębski – mój zastępowy, Witold Sosnowski – drużynowy, Władysław Ludwig wizytujący w 1929 r. nasz obóz w wielkopolskich lasach – komendant Warszawskiej Chorągwi Harcerzy, z jego niezapomnianą gawędą o lotnikach polskich Kubali i Idzikowskim, którzy w tamtej właśnie chwili lecieli przez Atlantyk niosąc sławę Polsce.

Gawędy kończyły każdy obozowy, każdy wycieczkowy dzień. I było to jedyne słowo, które stawiało kropkę nad „i". W migotliwym świetle ogniska, pod tajemniczą kopułą wygwieżdżonego nieba, wśród ciemnych ścian lasu pojawiała się służba, ofiara i karność. Polska pozostawała nadal w dyskretnym cieniu, chociaż to dla niej przecież...

Harcerstwo pozwoliło poznać kraj, zdeptać wiele ścieżek, poznać góry oraz brzeg Bałtyku. Pięknie mówił o tym w którymś wspomnieniu Jan Nowak-Jeziorański, stwierdzając, że to harcerstwo pozwoliło mu poznać Polskę tak dogłębnie, aby potem mógł ją rozumieć i wyczuwać z oddali, jako dyrektor rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. W tym poznawaniu Polski Gdynia odegrała węzłową rolę. Ta Gdynia, rosnąca na naszych oczach, cieszyła budową każdego gmachu: dworca, poczty, elewatora zbożowego, łuszczarni ryżu, ale i urządzeniem każdego metra trawnika na Południowym Molo, a co najwięcej – każdym nowym okrętem: Dar Pomorza, MS Piłsudski, MS Batory i wreszcie te wojenne: Wicher, Burza, Grom, Błyskawica, Orzeł. Jaka to duma, że to nasze, że naszymi rękami. Jaka miłość.

Jakoś tak samo z siebie po raz pierwszy powiedziało się słowo „miłość". Tu przy Gdyni właśnie. Bo tu w Gdyni poznało się ją jakby rozpierającą piersi. Wielkie uczucie jak do ukochanej dziewczyny. Zracjonalizowanym już umysłem wiem dziś, że to zakiełkowało i roz-

rosło się ziarno siane cicho, pełnym uczucia gestem siewcy, rzucane ciepłą jego ręką.

Istotą rzeczy było jednokierunkowe działanie wszystkich mających wpływ na wychowanie naszego pokolenia, instytucji: rodziny, szkoły, Kościoła, wojska i organizacji społecznej – w moim przypadku harcerstwa. Tu zresztą zanotować trzeba, że harcerstwo stanowiło czołówkę w patriotycznej postawie młodzieży polskiej. Jednokierunkowość tego wpływu uzyskana została nie przez funkcjonowanie jakiejś instytucji koordynującej. Takiej nie było. Było natomiast coś więcej – działało to, co myśl naszej Wyższej Szkoły Wojennej nazwała „łącznością duchową"; polegać ona miała na tym, że w chwili, gdy zawiodły wszystkie techniczne środki łączności, pozostawała świadomość, prawie pewność, jak zachowa się, sąsiad albo działający na innym szczeblu zwierzchnik lub podwładny – oraz jakiego spodziewa się on zachowania naszego. Ta pewność wynikała ze wspólnie przebytej szkoły, ze wspólnego wychowania. Całe pokolenie naszych rodziców, bez względu na to, czy to oficer, czy nauczyciel, czy harcerski instruktor, kochało tę świeżo, często własnymi rękami zdobytą, niepodległość. Działało to więc zbieżnie, nie wprowadzało zamętu pojęć młodzieży przez kontrowersje i spory. Trzeba by było skalistego ugoru, by na nim to ziarno rzucane ciepłymi serdecznymi dłońmi nie zakiełkowało. Łączność duchowa powodowała też, że mimo wielości siejących rąk, ruch każdej z nich był spokojny, jakby obliczony na normalne długotrwałe działanie, nie nerwowy i pospieszny, uciekający się do tanich, łatwo przez młodzież wykrywanych efektów w postaci patetycznych, a nieraz pustych słów.

A więc takie rosło pokolenie. Nie wiedziało, że już niedługo stanie przed wielkim egzaminem swojej postawy, że egzamin ten będzie tak trudny i tak ciężki oraz że będzie on trwał tak długo, obejmując całe w zasadzie życie. Tu przypomnieć należy toczące się w tym pokoleniu rozmowy tuż przed II wojną światową. Rozmowy wyrażały obawy i niepokój, że być może, jesteśmy pokoleniem o bezbarwnym przebiegu życia, jako że pokolenie rodziców dokonało tak wiele i nadal oddziałując swoim autorytetem i kształtując przyszłość, nie pozostawia dla nas wielkich zadań. Jakże inaczej stać się miało niebawem oraz jak pouczające jest wspomnienie tych rozmów. Pouczające szczególniej może dla dalszych następców.

Oto i ci następcy, ci, którzy urodzili się po „stalinowskich" latach, którzy wojnę i te lata znają tylko z opowiadań, ze wspomnień. Pierwsze roczniki tego nowego pokolenia wykazywały jakby przeciążenie brzemieniem bohaterstwa, ofiary, cierpienia. I chyba najbardziej owo przeciążenie ujawniało się w środowiskach ojców i matek szczególnie

zaangażowanych w minionej walce. Sytuacja tych właśnie środowisk nasuwa użycie rzeczownika „przeciążenie".

Trudno uogólniać, ale wydaje się, że po kilku, może kilkunastu takich rocznikach zaczęła rosnąć nowa wspaniała młodzież. Szczególnie dobrze znam ówczesne środowisko harcerskie, ale liczba patriotycznie nastawionej młodzieży w tym środowisku i temperatura jej patriotyzmu pozwala wnioskować w pewnym stopniu o całej młodzieży. Otóż to oni, wbrew rozkazom i często brzydkim, nękającym zabiegom „peerelowskiego" kierownictwa organizacji, masowo w liczbie około osiemnastu tysięcy zgromadzili się w 1987 r. na spotkaniu z Janem Pawłem II w Tarnowie. To oni spontanicznym chórem powtarzali tam za mówiącym do mikrofonu księdzem rotę prawdziwego harcerskiego przyrzeczenia. To ich nowosądecka drużyna zameldowała się poprzedniej nocy po stukilometrowym marszu prosto do służby, nie do odpoczynku. To oni w innym krańcu Polski po skończeniu służby przy papieskich uroczystościach w Gdyni, po starannym uprzątnięciu terenu, pomaszerowali nocą wielotysięczną kolumną do Gdańska, by tam znów objąć pielgrzymkową „białą służbę". To oni pełnili na wielokilometrowej przestrzeni jedyną służbę porządkową w świętokrzyskich lasach podczas pogrzebu majora Piwnika-Ponurego. Byli wspaniali!

I co się nagle stało? Dziś słowa „ojczyzna", „służba" – to często wzruszenie ramion. Dziś 3 Maja nie widać ani jednego harcerskiego munduru. Co się stało? Przecież to ta sama młodzież, tylko po paru latach. Przecież to tuż tuż za nią idące roczniki.

Wydaje się, że rozumiem. Po pierwsze przebieg cudu odzyskania wolności miał bardzo „niemłodzieżowy" charakter. Młodzież reaguje czynem. Tu nigdzie nie trzeba było maszerować, zaciągać wart, utrzymywać łączności. Bogu dzięki nie było żadnej walki. Po wtóre po tym cudzie nikt (!) aż dotąd do młodzieży się nie odezwał, nie postawił przed nią zadań – a istnieje ogrom tych zadań. Także skłócenie, ambicje i interesy osobiste, niedostrzeganie wielkości chwili wśród starszej części społeczeństwa, stworzyło dla młodzieży widowisko, od którego można się tylko odwracać. Nowy ustrój gospodarczy wysunął na czoło jako preferowanego bohatera przedsiębiorcę dążącego do własnego zysku. Postawa służby, ofiary przybladła, lub stała się krańcowo śmieszna. Otwarcie okna na Zachód pokazało naszą nędzę, zniszczenia, nasze braki narzędzi działania, w tym braki nowocześnie przygotowanych ludzi – powstał, pierwszy raz od wieków, kompleks niższości; zanikła duma narodowa. Wystarczy!

Trafiło to wszystko na tyloletni zły siew materializmu dziejowego, bazy i nadbudowy oraz wielu innych zniekształceń. Na koniec okazało się, że żadnego materiału nie należy trzykrotnie zginać w przeciwne

strony. Raz żyć wojennym niesłychanym bohaterstwem, później nasłuchać się drwin o kawaleryjskich szarżach na czołgi, o dzieciach na barykadach, i wreszcie znów maszerować w takt Pierwszej Brygady. *Po trzecim zgięciu okazało się, że materiał pęka. Nie tylko tego nie chce. Niczego nie chce – poza dolarem.*

Nasza biedna wspaniała młodzież!

Lecz spróbujmy spojrzeć spokojnie. Czy cała młodzież nie poszła za nurtem zmaterializowanego świata? Może szlachetny idealizm to rekwizyt przeszłości? Może Jan Paweł II toczy beznadziejny bój? Przecież na Zachodzie skauting, z którego wyrosło harcerstwo, jest – chyba to niestety nie przesada – jedynie godnym sposobem spędzania wolnego czasu. U nas był służbą. Bo my – w tym miejscu świata – skazani jesteśmy, jak powiedział Piłsudski, na wielkość; oczywiście, na wielkość ducha – bez tej wielkości zginiemy.

Powstaje jednakże, mimo tego ostatniego stwierdzenia, wątpliwość we własnym sumieniu: czy wolno, tylko w oparciu o doświadczenia własne i własnego pokolenia, narzucać młodym, tak innym i żyjącym w tak innym świecie, nasz styl życia? Ta wątpliwość jest powodem szukania dodatkowych argumentów. Oto one:

Pierwszy podstawowy – to zdanie sobie sprawy z tego, że w tym nawoływaniu do miłości ojczyzny nie ma żadnego cienia egoizmu. W wieku 76 lat byłby on już tylko żałosną małością. Jest natomiast głębokie przekonanie, że to, co się ukochało, a więc Polska – tylko przy gorącym patriotyzmie kolejno nadchodzących pokoleń będzie sobą, będzie Polską. Ale jest i coś silniejszego, daj Boże bardziej jako argument przekonywającego: to pewność, że nadchodzące pokolenia tylko wtedy będą szczęśliwe, kiedy ich życie będzie pełnieniem służby, jeśli będzie budowaniem, dopełnianiem wielkiego aktu stworzenia. Wtedy kończąc swój pobyt na ziemi, będą widziały sens podsumowywanego życia.

Drugi argument to dojście do wniosku, że tylko nieliczni wybrani, powołani do kapłaństwa lub życia zakonnego, mogą iść do spraw boskich, na drugim planie stawiając to, co tu na ziemi. Całe społeczeństwa muszą iść ku tym sprawom poprzez miłość i budowanie rzeczy ziemskich, swego rodzinnego domu, swej wsi i miasta, a następnie kraju, jego kultury, może w nadchodzącym XXI wieku – już związków ojczyzn. Nigdy jednak nie odcinając się od korzeni, z których się wyszło. Rozrastać się, a nie rozpoczynając od, z natury rzeczy, wartości abstrakcyjnych, najwyższych, skazywać inne sprawy na lekceważenie, bo nie znamy całej drogi wzrostu. Wydaje się, że pewien kryzys, jaki przeżywają obecnie „Oazy", na tym właśnie polega.

Trzeci argument to zrozumienie, że miłość kraju nie jest żadną abstrakcją. To miłość do ludzi, którzy tu żyli, budowali, tworzyli, bronili... To miłość do tych, co przyjdą, i praca dla nich. Miłość konkret-

nych ludzi. Zrozumienie również, że te góry, brzeg morski, architektura – to albo ich dzieło, albo obiekt ich miłości jako kawałek dzieła stworzenia, który mamy „czynić sobie poddanym".

I wreszcie czwarty – że po niezwykłych przeżyciach, jakie przeszedł nasz kraj, stojący na progu ludobójczej zagłady i cudem bezkrwawo odzyskujący wolność, mamy co dać światu, nie musimy mieć przed jego wysoką cywilizacją kompleksu niższości. I mamy obowiązek to dać.